



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach piśm peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

I.

List Jmć Pana Wojciecha Poczobutta, do stryja,
wielebnego kanonika.

Meleszkowo, d. 25 Maja r. 18 ...

Czcigodny stryju dobrodzieju!

„Aczkolwiek jestem już od dwóch tygodni na dworze JW. Kasztelana Meleszki—i spełniam służbę jego sekretarza nadwornego, wszelakoż nie miałem jeszcze sposobnej pory dla napisania listu do wielbnego stryjaszka. Świadcę się Bogiem, że to nie pochodziło ani z lenistwa, ani z opieszałości; li-tylko mam wielki nawał korespondencyj na mojej głowie!.. a wszystko muszę pisać, raz w „brulionie“ powtórę „de netto.“ Tak wymaga JW. Kasztelan.

Nie będę tu opisywał przepyszności dworu, tych wirydarzy—luxu w apartamentach—oraz wszystkich detali pałacowych, gdyż kochany stryj, będąc już nie raz w Meleszkowie, zna dobrze całą tę *omnipotencję* dworu! Ja, tu tylko, w tem krótkim „*Silva rerum*“, streszczę pobieżnie moje osobiste wrażenia, oraz mój *komiczny* wjazd na dwór Meleszkowo.

Była to właśnie godzina ósma rano, kiedy mój

wózek jednokonny zatrzymał się przed bramą pałacową.

Wszedłszy na dziedziniec, rozglądałem się do koła, niewiedząc co począć ze swoją personą i do kogo udać się po język. Wszystko było pozamykane; tylko dwóch fernali napełniało sikawki wodą, dla odświeżenia kwiatów na tarasie przedpałacowym. A ten pałac, to olbrzym, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem! z wieżycami, strzelnicami—istny zamek forteczny!

Owoż, kiedy ja tak mój wzrok ciekawy wodzę po wszystkim, opadają mi nagle trzy charty—i dalejże krawcować po moim nowiuteńkim płaszczu.

Opędzam się, jak mcgę, biczyskiem, ale to jeszcze bardziej rozwściekla bestye, i rozrywają mi przez pól, wraz z peleryną, mój płaszcz, za który stryj dobrodziej zapłacił w Wilnie 100 złp. owemu krawcowi na Niemieckiej ulicy.

Tu, już mnie gwałtowna złość porwała i zawołałem z całej piersi:

— Cóż u licha! czy tu wszyscy powymierali w tem dworze?— hej, panowie fernali, odpędźcież odemnie te psy utrapione!

Ale fernali poszli z sikawkami do wielkiego ogrodu, ani się troszcząc o moją dolę.

Wszelakoż—na mój wykrzyk—wyszło z oficyny, dwóch ugalonowanych lokai, oraz kucharz w białej szlafmycy, i wszystko to zaczęło się śmiać na głos, patrząc na niefortunny stan mojej odzieży.

Nikt ani się odezwał, by przywołać ujadające charty. Była to dla nich *komedya*. Krew we mnie zakipiła na tę zniewagę służalców, i już otworzyłem usta, by im rzucić słowo wzgardy, gdy nagle, na progu drugiej oficyny pałacowej, ukazała się ogromna postać mężczyzny, w szafirowej taratatee, i takież rogiatywe z barankiem. Był to starzec całkiem siwy, z ogromnemi wąsami, o pięknej rumianej twarzy, z siwem okiem i marcyalnie nasuniętymi brwiami.

— Neptun! Diana! Merkury!—jak huknie basem, ów jegomość w taratatee, tak psy, jak na komendę

dowódcy, odskoczyły odemnie, a zaczęły się wdzięczyć i jakby usprawiedliwiać przed jegomością.

Niewiedząc, kto on zaczął, a sądząc, że może to sam JW. Kasztelan, ukloniłem się pokornie, a zdjawszy czapkę, trzymałem ją w rękę, myśląc od czego zacząć swoją przemowę. Chociaż ją przez drogę ze sto razy korygowałem, zawsze mi zdawała się niedosć elokwentną dla tak dostojnej osoby, jak JW. Kasztelan Meleszko. Co snadź spostrzegłszy ów jegomość, pan rotmistrz Zaremba, (jak to dziś jest mi wiadomo), odezwał się pierwszy wesoło:

— A no, panie bracie, jak widzę, przestraszył cię ten psi Olimp, ale to nie takie złe jak acan myślisz! to więcej hałasuje, niż robi złego...

Pan rotmistrz nie widział jeszcze z tyłu mego płaszcza.

— Jaśnie wielmożny panie—odezwałem się zicha, oddając powtórny ukłon—to nic, to mała swawola wesołych chartów.

Chciałem się znaleźć dworacko, by nie obrazić następnie p. Kasztelana, skarżąc się na jego, jak wnioskowałem, ulubione psy myśliwskie.

— Acan mię zapewne bierzesz za p. Meleszkę, zowiąc mnie „Jaśnie wielmożnym“; ale ja nim nie jestem!...

— Z kim-że mam honor?—zapytałem niesmiało.

— Rozmawiasz acan, z Piotrem Zarembą, rotmistrzem z 3-go pułku kawalerji; jestem *natus*, ale nie *possessionatus*!... a jak tu powszechnie mię nazywają—jestem „Rezydent“ JW. Kasztelana Meleszki.

Przy tych słowach starzec rozśmiał się jakos dziwnie. Ten śmiech był bolesny! Tak mi się przynajmniej zdawało.

Pokręcił sumiastego wąsa, brwi jeszcze srożej namarszczył, odął wargi i pomileczał chwilę... narzeczcie rzekł znowu z dziwnie łagodnym uśmiechem, który stanowi niesłychany kontrast z jego

zsuniętymi groźnie brwiami; wszelako, to jakoś harmonizuje.

— Gdy acan dobrodziej wiesz teraz, kto ja jestem; racz mi powiedzieć swoje nazwisko.

I zbliżył się jeszcze o parę kroków. Ja otworzyłem już usta, by mu powiedzieć moje nazwisko i mój herb, gdy nagle pan rotmistrz parsknął takim śmiechem, że całkowicie zapomniał języka w gębie.

— Acan się nie potrzebujesz rekomendować, mówił, śmiejąc się na całe gardło, i trzymając się za boki — już wiem jak się nazywasz!... ha! ha! ha! a toć to św. Marcin, nikt inny!... ma tylko połowę płaszcza! O, chodź, niech-że cię uściskam, godny naśladowco tego świętego poczcziwca!...

I pan Zaremba umierał prawie ze śmiechu, dostrzegłszy, że mój nowy płaszcz, przedarty na dwie połowy, oraz ostrzepiony u dołu, czynił fantastyzną za mnie postać.

Ten jego śmiech, serdeczny, poczcziwy, a że tak powiem, prawie dziecinny, obudził i we mnie wesołość; zapomniałem na chwilę o moim nowym płaszczu, a rozśmiawszy się także, odrzekłem:

— Święty Marcin, miał przynajmniej tę pociechę, że połowę swego płaszcza mógł oddać komuś, ja zaś nie mogłem z tej przyczyny, że *troje bestyj* o nią walczyło: Neptun, Merkury i Diana!

Pan rotmistrz trząśnięty ze śmiechu.

— Ha! ha! ha!... To tylko ta niepoń Diana, ta bogini łowów, to taka szalona charcica! Neptun i Merkury, to spokojne psiska, ani nawet żadnego „kota“ w lesie nie zwietrza, i dopiero, gdy ta szalona Diana, złatawszy wszystkie knieje, niesie w zębach zająca, a cała zziąjana i trymfująca, pokazuje im swoją zdobycz — wtedy dopiero, poczcziwy Merkury i zacny Neptun raczą odgryźć mu *skolki* i wypić *farbe!*... i łaszą się potem przed Kasztelanem, z *miną*, że to oni upolowali.

— Al! to odważna i rezolutna ta panna Diana — rzekłem jeszcze weselej; nie gniewam się już na nią, za mój płaszcz.

— Ale co to rezolutna? to bohaterka!

Widocznie Diana była słabostką p. Piotra Zaremby.

— Ale dosyć już o chartach — rzekł porywco — ja nie wiem dotąd z kim gadam?...

— Jestem Wojciech Poczcziw, synowiec *rodzony* wielobnego księdza kanonika Poczcziw, od którego tu właśnie mam list do JW. Kasztelana!

— Tra! tra! tra! w to mi graj, a toć pan Meleszko acpana dobrodziejja już od ośmiu dni wyczekuje niecierpliwie. A no, jeśli to tak, to się znamy, boć, jegomość księdza Poczcziwta znam doskonale; to zacności człowiek — bo, i nie małej „inteligencji“.

— Stryj mój toż często wspominał pana rotmistrza dobrodziejja i zaleca mocno, abym potrafił zyskać jego łaskawe względy.

— Palestrant! i dworak! — zawołał jowialnie pan Zaremba, odrazu starego chce „wziąć na kawalkę“ — ale właśnie takich nam tu potrzeba!... Pan Kasztelan lubi niezmiernie *dworakowstwo* i *decorum*.

— Nie jestem dworakiem, bo nigdy jeszcze na żadnym dworze nie byłem; lecz zdaje mi się, że jeśli to słowo „dworak“ znaczy pochlebę i bezmyślnego sługusa, to nie moje tu miejsce, gdzie „*lubią dworaków*“.

— „Lingua est indicium animae“ — odrzekł poważnie p. Zaremba, — co ma się znaczyć: iż poznasz zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy. Waćpan, widzę, szydłem kaszy nie jadłeś... przeto, chodź do mojej *stancyi* w oficynie i racz przyjąć moją piwną polewkę.

Skłoniłem się na znak zezwolenia. Pan rotmistrz, idąc przodem, przesuwając ciągle swoją rogatywkę z lewego ucha na prawe, i *vice versa*, to pokręcał wężem, to coś mrucał pod nosem, jak to jest u niego we zwyczaju. Gdyśmy weszli do stancyi p. Zaremby, uderzyła mnie dziwnie ta nadzwyczajna schludność przy ascetycznej prawie skromności. Ściany bielutkie jak suknia panny młodej, łóżko żelazne, z siennikiem, przykryte szarą samodziałową kołdrą; przed łóżkiem rozciągnięta ogromna skóra niedźwiedzia, — snadź trofea pana rotmistrza; nad łóżkiem broń wojskowa, oraz dubeltówka i kindżał turecki; nad tem wszystkim dominował obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej,

w złożonych ramach, a u spodu obrazu wisiał na gwóźdźu kapciuch axamitny czarny, wyszywany pellą i paciorkami, oraz osłonięty *różową* gazą. Jak się później dowiedziałem, była to najdroższa pamiątka pana rotmistrza, dana mu przez jego bogdanę, kiedy już siedział na koniu, idąc na wojaczkę!...

Bogdanka później wyszła za mąż i już jej pono nie widział pan Zaremba, ale „kapciuch“ został na zawsze wierną *pamiątką* z lat młodości, i jedynej a prawdziwej miłości (jak to sam mówił potem pan rotmistrz).

Były i kwiatki na oknie, i lustro na ścianie, i parę drewnianych krzesel, oraz stół biały niepoliturowany, na którym leżały *Zywoty świętych*, oraz *Volumina Legum*. Pan rotmistrz lubi czasem i *literaturę!*

— A, widzisz waćpan, panie Poczcziw, jak tu ubożuchno u starego kawalera — rzekł, zwracając się do mnie i uprzejmie ściskając za rękę — witam cię tu moim gościem, zanim pan Kasztelan raczy się przebudzić.

— Pan Kasztelan długo sypia? — rzekłem — by coś powiedzieć i o coś zapytać...

— A no, to zależy: jeśli pójdzie spać o godzinie drugiej, to się budzi o południu; a jeśli wcześniej, to czasem wstaje i o 10-tej.

— Pan Kasztelan tak długo w nocy pracuje? — rzekłem zdumiony — taki niewczas może mu przynieść szwank na zdrowiu!

Pan rotmistrz rozśmiał się na całe gardło i rzekł jowialnie:

— O, nie myśl znowu acpan, że pan Meleszko tak oczy traci czytając *Volumina Legum*, lub kazania księdza Skargi — jako żywo! tego zwyczaju nie ma na naszym dworze!... tu zawsze huk gości! pijatyka, „Faraon“, piekielny potomek tego egipskiego złodzieja — zresztą, uczy, muzyka, i...

To mówiąc splunął i podał mi ogromną filiżankę piwnej polewki z szafranem.

Pan Zaremba ranne śniadanie sam sobie przygotował. Obiad i wieczerzę jadał u stołu.

Zamyśliłem się nad tem głęboko, com usłyszał od pana rotmistrza — i dziwiłem się w duchu, dlaczego mi stryj dobrodziej wysłał na taki dwór, gdzie panują tak lekkie obyczaje? Nic więc nie odrzekłem; piłem sumiennie polewkę i maczałem sucharek.

Pan rotmistrz czynił toż samo. Nareszcie, gdy już wszystko *wyskurpił*, nakładając sobie długą turecką fajkę, zaczął w ten sens:

— Podobałeś mi się acpan odrazu, bo masz postać nadobną, a mowę skromną! chodź snadź, że w tej głowie nie latają wróble jak w pustkach. A więc, muszę ci dać radę przyjacielską na wstępie: abyś się miał zawsze na bacności i srodze pilnował sam siebie!... bo tu jak na lodzie, tak śliska łaska pańska!... przedewszystkiem, bądź całkiem *gluchy i ślepy*. Z nikim nie wchodź w poufałość, nie zwierжай się ze swoich „*impressyj*“ przed nikim, mów jak najmniej, a słuchaj tylko drugich!

— To dla mnie łatwe do wykonania, gdyż z natury nie jestem wielomównym; wszelakoż... trudno mi będzie zostać *narzędziem* czyjejkolwiek!...

— To lubię! — zawołał pan Zaremba i uderzył mnie zlekka po ramieniu — znać odrazu dobrze urodzonego! Szlachecka krew!... w poddaństwo się nie zapisze i dla bezcki złota!... Ale widzisz acpan dobrodziej, to nie o tem mowa, abyś został jakąś bezmyślną machiną!... Najpierw — pan Kasztelan, jest to człowiek bardzo grzeczny, światowy, pięknie wychowany i przytem niezmiernie hojny, dla tych których polubi; ale biada tym, co go w najmniejszej rzeczy obraża: nie zapomina nigdy i mści się do upadłego!... ha! niedarmoć-to *progenitura* pana Mikołaja Meleszki, dziedzica Tajkur: takuteńki raptus. hulaka; a znowuż, jak dobry, to prawdziwe jagnię; córki za nos go prowadzą, a ma ich dwie, przesłone panny, mądre, dobre i urodziwe!...

— Pan Kasztelan ma i syna — odezwałem się z kolei.

— A tak — mówił zwolna pan rotmistrz — puszczać ogromne kłęby dymu — to pierworodny! pan Kasztelan ma już dziś lat 26!... ale my, tu go rzadko widzujemy!

— Czy bawi się granicą?...

— Juźci też za granicą!... bo jest w służbie u Austriaka, jak to mówią w *białych rakach!* Ponoś te-

raz, przez protekcję pani baronowej Engelhart, rodzona siostry pana Kasztelana, pan January został już kapitanem huzarów.

Tu nastąpiła długa pauza milczenia. Pan rotmistrz widocznie połknął dalszą mowę, niechając odrazu ze wszystkim się wygadać, co rozumiał, rzekłem obojętnie:

— Pani Kasztelanowa dawno już umarła?

— Oh! to była święta niewiasta, ta nasza pani — dziesięć lat już jak spoczywa w Bogu! Malutkie to jeszcze zostawiła te nasze panienczki! a, jakby się to dziś ucieszyła, ujrzawszy te dwie nadobne róże!...

Mówiąc to, pan rotmistrz otarł łzę pokryjomu.

Wyszliśmy potem do ogrodu, czekając przebudzenia się JW. Kasztelana. Rozmawialiśmy kolejno to o florze, której wielkim zwolennikiem jest pan Zaremba, to o stryju dobrodziejju, to o moich rodzicach; ale już o panu Kasztelanie, ni też o jego rodzinie, nie było mowy.

O godzinie 11-ej przyszedł do nas kamerdyner pana Kasztelana, mówiąc, że jasnie pan, dowiedziawszy się o mojem przybyciu, żąda, abym mu wręczył list od wielobnego księdza Poczcziwta; sam nie mogę się przedstawić na pokojach, dopiero o dwunastej, kiedy pan Kasztelan skończy swoją toaletę.

Oddałem list kamerdynerowi, a poznawszy, że jest to jeden z tych, co się tak śmiał przed oficyną, gdy mnie psiska turbowały, rzekłem bardzo uprzejmym tonem:

— Proszę cię, mój przyjacielu, abyś był łaskaw przeprowadzić mnie przez dziedziniec, gdy zostanie wezwanym do JW. Kasztelana; boć, jeśli mi charty tak obędrą poły surduta jak płaszcz, to trudno mi będzie stawić się przed jasnie panem.

— Bądź pan o to spokojny — odrzekł niezbyt domyślny sługus, że mu zrobiłem alluzję do jego nie-ludzkości — ja sam po pana przyjdę.

Uklonił się nam obu i odszedł.

Pan rotmistrz parsknął śmiechem i rzekł:

— A toć mu acan, podał pieprzu zamiast tabaki; ale, czy to ta hołota liberyowa zna się na policzku *dany* przez *rekawiczkę*? Im trzeba pałką w łeb... to dopiero rozumieją — to są niewolniki!

Jakoż o dwunastej zostałem wezwany na audyencję do JW. Kasztelana.

Na dziś kończę ten mój list, a w drugim opisiej detalicznie jak mnie przyjął p. Kasztelan.

Ściele się do stóp stryja dobrodziejja pokorny jego synowiec i sługa
Wojciech P.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Kładąc na stronę wyszukaną trochę przesadę stylu Kowalskiego (*), widzimy w tym portrecie powabną, ujmującą postać młodego człowieka — taką, jaką ją widział każdy z tych, którym się zdarzyło spotkać Malczeskiego w owych dniach jeszcze stosunkowo szczęśliwych jego młodości.

Drugi portret, z ostatnich lat życia poety, lepszy jest i wprawniejszą robioną ręką. Drugi naoczny świadek, w prostszych niż Kowalski, ale dosadniejszych wyraził go słowach, używając do tego porównania, które lepiej i żywiej maluje tę postać, niegdyś tak pełną wdzięku, a wówczas już zniszczoną przez biedę i cierpienia. Generał Załuski w liście

(* Fr. Kowalski opisał był poznanie się swoje z Malczeskim we *Wspomnieniach*, które najpierw urywkami podał Adam Plug w *G. Warsz.* z r. 1854. To właśnie źródło wskazane jest przez Wójcickiego (*C. P.*). Rozmowa z poetą i jego charakterystyka znajduje się w N. 304. *Wspomnienia* wyszły w r. 1859 w Kijowie; niezawszę dają one bezpieczne oparcie badaczom faktów dawniejszego życia literackiego. (*Przyp. Red.*).

tylko już raz wspomnianym i wyżej przytoczonym, tak nam maluje Malczeskiego: „Widziałem go w Warszawie, nim wydał *Maryę* (a więc może na początku 1825 roku) zmienionego, dziwnie zestarzałego, stetryczalego; z owego Adonisa, przypominającego, z rysów twarzy, młodego Stanisława Augusta, zobaczyłem, z wielkim mojem zadziwieniem człowieka, wyglądającego na pastora luterskiego w jakimś żalobnym, półduchowym stroju, lecz nie katolickich księży — był całkiem zajęty magnetyzmem“.

Łatwo będzie domyśleć się przyczyny tak okropnej zmiany, gdy się przypomni okoliczności, wśród jakich Malczeski opuścił Wołyn i znalazł się na bruku warszawskim — bez pieniędzy, bez sposobu do życia, a zmuszony do utrzymania nie tylko siebie, ale jeszcze i pani Rucińskiej, której dwuznaczne położenie, chociaż może niesłusznie, było przecież dla niego wiecznym i nieustannym wyrzutem. Owoż ten wyrzut dla Malczeskiego musiał być tem dotkliwszym, że, jak powiada Załuski, „był to młodzieniec pełen uczuć wzniosłych... a jeżeli grzeszył, grzeszył zbytkiem tych uczuć, które są, niestety, aż nadto rzadkie“.

W ciągu trzechletniego pobytu w Warszawie wyczerpali wszystkie środki i wszystkie zasoby, a, przenosząc się z mieszkania na mieszkanie, znaleźli się na koniec pod N. 796 przy ulicy Elektoralnej w Październiku 1825 r. w tem skromnym mieszkaniu, które miało być ostatniem na ziemi schronieniem biednego poety. To mieszkanie nawet było nieopłacone, bo, jak się pokazuje z deklaracji rządcy domu, złożonej przed Trybunałem Cywilnym województwa Mazowieckiego, Malczeski był dłużny za mieszkanie.

Wyniszczony straszłą chorobą, skóra żółtkowego, dręczony zgryzotą, szarpany potrzebą i niedostatkiem, umarł w nędzy i opuszczeniu! „Wydanie poematu, mówi generał Załuski, kosztowało go, a nie przyniosło tyle sławy wówczas, pieniędzy zaś nie“. I tak było w istocie, bo jak się pokazuje z wiadomości czerpanych przez Wójcickiego, u najpewniejszych źródeł „sprzedaż poematu szła z oporem. Zostawił on w jednym znajomym sobie domu kilkadziesiąt egzemplarzy *Maryi*, po cenie niższej, bo tylko po pięćdziesiąt groszy za egzemplarz, a jednak nikt nie kupił“.

Ambitny i szlachetny jego charakter, jakkolwiek trapiiony nieszczęściem, nie upadł przecież pod tym ciężarem; czysty i nieskazitelny pozostał do grobu. Drażliwszy tylko i czulszy, niechęć się narazić na politowanie dawnych przyjaciół i znajomych, unikał ich trochę. Generał Załuski powiada: „Niewiele się Malczeski do mnie zbliżył, bądź, że w nim widok mój wzbudzał żal (tak być musiało rzeczywiście; był to żal za siostrą generała, żal straconych nadziei) bądź że ja nie przebywałem wówczas w Warszawie, tylko chwilowo. Gdyby się był udał do dawnych kolegów, dodaje generał, a nie krył się przed nimi, byliby go uratowali z nędzy; lecz on wolał uciec się do swego talentu niż prosić“.

Jestto najpiękniejsza pochwała, jaką Załuski mimowolnie oddał poecie. Ani moje, ani nieczyje pióro silniej i lepiej wyrazić nie zdoła tego hołdu, jaki się należy tak wielkiemu talentowi pisarza i tak wysokiej zacności człowieka.

„Ze spisu rzeczy po Antonim Malczeskim, mówi Wójcicki, okazuje się, iż oprócz kilku książek w języku francuskim i angielskim, dzieł Byron'a, jego portretu (zapewne mówi tu Wójcicki o portrecie Byrona) i trzech egzemplarzy *Maryi*, pozostała po nim bardzo mała ilość sprzętów i garderoby i te sprzedane zostały przez licytacją; ale wartość ich nie starczyła nawet na zapłacenie lokalu i długu w aptece Celińskiego za lekarstwa w ostatniej chorobie zaciągniętego“ (*).

Jakie były ostatnie chwile życia poety? każdy domyśli się łatwo, jeżeli zna tę wzmiankę protokółu urzędowego, że pani Rucińska i służący Świerzbiniński odeszli z domu natychmiast po jego śmierci, nieczekając nawet pogrzebu. Widzimy to biedne wyniszczone chorobą ciało, nie-mocne już opuścić, choćby na chwilę, łoża boleści, widzimy je wobec kobiety, dla której tyle poświęcił.

Malczeski w ostatnich chwilach życia był bardzo pobożny, powiada pani Rucińska; nie dziwi nas to bynajmniej, pewni jesteśmy nawet, że całe swe życie był wierzącym głęboko i pobożnym — widać to na każdej karcie *Maryi*.

„Żadne z pism społecznych, jak powiada Wójcicki (*), nie poświęciło choćby słów kilku pamięci Malczeskiego; tylko „Kuryer Warszawski“ z d. 5 Maja 1826 r. w tych słowach zachował nam wspomnienie zgonu poety: „Obecni tu przyjaciele ś. p. W. J. Pana Antoniego Malczeskiego, oddali mu ostatnią chrześcijańską posługę, znajdując się przy przy pochowaniu jego zwłok na cmentarzu Powązkowskim“.

I to były jedyne słowa, któremi uczczono pamięć jednego z największych poetów polskich. Co nas więcej uderzać powinno to to, że nie można wynaleźć już dzisiaj owego zakątka ziemi, gdzie złożono ciało zmarłego.

„W roku 1830 kilku młodych pisarzy postanowiło uczcić pamięć zmarłego wieszca, mówi ten sam Wł. Wójcicki położeniem kamienia z prostym napisem: „Autorowi *Maryi*“; ale już wtedy szukali naprzód miejsca, gdzie zagrzebano jego zwłoki. Zamiar ten więc spełznął na niczem, a z tego poszukiwania został tylko ślad niepewny, że Malczeski był pochowany u progu starych katakumb, w samym ich końcu, o kilka kroków na lewo“. Wypadki 1830 r. przerwały te wszystkie poszukiwania na długo; dopiero bowiem w 1854 r. H. Skimborowicz po śmierci pani Kulman (Karoliny z Malczeskich, przyrodniej siostry Antoniego), kazał postawić pomnik na jej grobie z następującym napisem (**): z jednej strony: „Autorowi *Maryi* położony H. Skimborowicz, redaktor *Piśmiennictwa krajowego*“; na drugiej: „Karolinie z Malczeskich Kulman, zmarłej w Warszawie w dniu 3 Marca 1854 r. Pokój jej duszy“.

Tak więc ślad nawet zaginął ostatniego przytułku biednego poety na ziemi. Ale żyje on i żyć będzie w pamięci rodaków, i śmiało mógł, zamykając oczy na wieki, powtórzyć o sobie te słowa Horacego:

Exegi monumentum aere perennius!

Takim bowiem wiecznym, trwałym od spżu pomnikiem jest *Marya*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Trzęsienie ziemi nad Renem.—Signa temporis.—Pomniki piornami rażone.—Choroby społeczne i lekarstwa.—Parlament. Bismarckowie, Renleaux.—Annexy znakomitości.—Bogowie i Kato.—Sąd o narodach przez F. Ratzel. Stanowisko kobiet i wpływ ich na społeczeństwo. Wyształcenie i nauka. Geniusze i ich waga.—Sacher-Masocha *Legat Kaima*.—*Raj nad Dniestrem*. Upadek pisarza.—Teodor Döring zmarły w Berlinie.—Wspomnienie o Stan. Strojnowskim. Tłómaczenie Dantego.—Kongresy.

Do wszystkich tegorocznych klęsk i niespodzianek mieliśmy tedy jeszcze i — trzęsienie ziemi nad

(*) Tenże sam pisarz dodaje (*Cm. Pow. T. I, str. 245 i 6*). „Do pamiętek rzadkich po naszym poecie zaliczyć potrzeba klepsydre czyli kartkę pogrzebową zapraszającą na pogrzeb jego 1826 r. Kartka ta ćwiartkowa ma obwódki i ozdoby odbite w kliszu; u wierzchu stoi urna popielnica, po bokach symbola: wiary, nadziei i mądrości, to jest: krzyż, kotwica i pochodnia. Pod spodem zaś leży trupia głowa, na skrzyżowanych: gałęzi palmowej i pałaszu. W środku karty jest następujący napis: „Zaprasza się przyjaciół i znajomych ś. p. Antoniego Malczeskiego, w dniu 2 b. m. i r. zmarłego, na exportację ciała z domu przy ulicy Elektoralnej pod N. 796 na cmentarz Powązkowski w dniu 4 Maja o godzinie wpół do trzeciej z południa odbyć się mającą.“

Requiescat in pace“ (*).

(*) Podobnie drzeworytnicza tej karty pogrzebowej pomieściły *Kłosa* z r. 1876 w N. 566. (*Przypisek Red.*)

(**) Wójcicki twierdzi (*Cm. Pow. T. I, str. 245*), że pomnik ten nie jest na miejscu, gdzie był pogrzebany Malczeski, a które wskazał wyżej, bo pomnik pani Kulman jest na nowym cmentarzu Powązkowskim, a grób Malczeskiego miał się znajdować na starym, najpierwszym cmentarzu, pomiędzy początkiem pierwiastkowych katakumb a pomnikiem i grobowcem Szymanowskich (Korwinów), którzy tę ziemię darowali miastu Warszawie na cmentarz.

Renem. Nie wiem czy wielki dzwon katedry Kołońskiej, który dotąd dzwonić nie chciał, uderzył tym razem na trwogę, ale że inne jęknęły, to pewna. I to także mniej więcej pewna, że w pomnik ów, na którym wypisane są słowa żelaznego meża „Nie pójdziemy do Canossy“, uderzył piorun, a drugi niedawno spuścił się po posagu Arminiusza w Teutoburskim lesie. Ludzie, co wierzą w elektryczność tylko, pomimo iż do tych wypadków nie przywiązują wagi, dziwnie potrzęsają głowami. Składają-bo się w osobliwy sposób jakieś *signa temporis*.

Właśnie w chwili, gdy się w Kissingen układało, — ogień z nieba padł na zuchwały napis pomnika. Wszystkie to zaprawdę drobnostki są; ale tłum, który brzemień czasu czuje na ramionach, i to zapisuje do księgi pamiętek.

Jesteśmy w przededniu otwarcia parlamentu i głosowania na nadzwyczaj ważne prawo wyjątkowe przeciwko nadużyciom prassy i swobodzie stowarzyszeń. Dotąd spotykamy się tylko z protestami przeciwko obojgu; jaki los spotka projekta tych praw — nikt dziś przewidzieć nie może.

Niema wątpliwości, że społeczność jest chora, że choroba to ciężka; lecz czy zewnętrzne zabliźnienie ran i zalepienie ich pomoże? wątpliwi lekarze.

Chorobliwy *virus* jest w organizmie; nie dozwolimy mu się objawić nazewnątr, nie jest to jeszcze wyleczyć i uzdrowić. Radykalnem lekarstwem może być tylko — wychowanie; szkoły i nauczyciele którzy złego byli przyczyną, mogą jedynie uratować społeczeństwo. Tak mówią ci, którzy, uznając prawo i obowiązek obrony przeciw doktrynom burzącym, sięgają głębiej i dalej niż chwila dzisiejsza. Historia nas uczy, że środki gwałtowne przędzej reakcję wywołują niż zamierzony skutek.

Ponieważ niepewnym jest czy parlament na projekt się zgodzi — mówią już tu o nowem jego rozwiązaniu i nadziei, że ponowione wybory dadzą jeszcze znaczniejszą liczbę zachowawczych żywiołów.

Być jednak bardzo może, iż partya, tak zwana, liberalna, na której ezele stoją pp. Benningsen i Lasker, — jak się to już dziś słyszeć daje — rządowy projekt zechce poprzeć. Naówczas Bismarck nie będzie miał potrzeby uciekać się do Centrum, i mocno nadwężona falanga narodowców u steru się utrzyma. Dziś jeszcze jeden wybór rozstrzygnie o popularności księcia żelaznego.

Dotąd gdziekolwiek kandydatami byli synowie, gdzie się powaga jego posługiwać chciano, wszędzie się skończyło na niepowodzeniu; ostatnia próba, właśnie gdy to piszemy — odbywa się w Langensalz. Przeciwnikiem jest Dr Reuleaux, ten sam, którego sąd o przemyśle niemieckim w Filadelfii tyle wrzawy narobił.

Dr Reuleaux, jak jego nazwisko świadczy, jest pochodzenia francuzkiego, lecz z niego podobno mu tylko zostało to imię. Spotykamy się w spisach znakomitości pruskich nieustannie z podobnemi „annexjami“ różnych narodowości.

Fizjologia niemiecka szczyci się p. Dubois-Raymond, poezya — niezapomnianym Chamisso i Fouqué; w ostatniej wojnie imiona Leszczyńskich, Wilnowskich, Małachowskich spotykaliśmy często. W muzeach narodowych widzimy: Passiniego, d'Angeli, Gierymskiego, Brandta naszego i mnóstwo innych. Szanowny mój przyjaciel i kolega w powieściopisarstwie, znany pod nazwiskiem Waldmüllera, zowie się w istocie Duboc i jest na wpół Francuzem. Poszukiwania tych obcych elementów w Niemczech, a szczególnie w Prusiech, dałyby miarę siły, z jaką przyciąga do siebie — potęga wszelka. Mniej więcej wszyscy ludzie praktyczni wolą z bogami trzymać niż z Katonem.

W związku z tym przedmiotem jest świeżo ogłoszona rozprawka *Sąd o narodach* przez p. Ferd. Ratzel z Monachium. Rzecz to niewyczerpująca, lecz dotykająca zdaleka wszystkich kwestyj stosunków, faktycznych i duchowych, międzynarodowych. Nie o samym sądzie mówi autor, lecz o wielu a rozmaitych zetknięciach się, zmieszaniach, połączeniach różnych narodowości; ma nawet odwagę, choć z wielką ostrożnością, wypowiadać, że obok narodowości niemieckiej w państwie stojące drobne likiem inne narodowości — mogłyby być tolerowanemi.

W sądzie o narodach bardzo słusznie Ratzel na pierwszym planie, jako najprzeważniejsze znamię charakterystyki narodowości, stawia — stanowisko, jakie w niej kobiety zajmują. „W najobszerniejszym znaczeniu powiedzieć można, pisze on: jaka kobieta — taka rodzina, a jaka rodzina — taki naród. Naród, który niewiasty swe szanuje, ma wewnętrzne życie rodzinne, a co rodzinie jest korzystnym, służy niewątpliwie zdrowiu społecznemu, dobremu wychowaniu i pomyślności gospodarstwa wewnętrznego. Poniżenie kobiety mści się upadkiem rodziny i plemienia. Nigdzie mężczyźni niżej nie stoją aniżeli tam, gdzie stawiają nisko kobiety, które ich za sobą ciągną. Niewątpliwem jest, że mężka płeć wszystkich tych ludów, u których kobiety są uciśnione lub odepchnięte, ma charakter niedający się inaczej oznaczyć, jeno zniewieściałością. W Europie Hiszpanie są narodem, trzymającym kobiety w największym odosobnieniu, a właśnie u nich, pomimo tradycyjnej dumy ich, zniewieściałość, miękkość, brak głębokości, niedostatek logiki, najwięcej się czuć daje. Nie umieją się opierać namietnościom. Ludy Wschodu mężczyznami, w wyższym znaczeniu tego wyrazu, przymiotami się nie odznaczają. Siłę, odwagę, wspaniałomyślność ma z nich wielu może, ale tylko życie rodzinne wyrabia w człowieku pomiarkowanie, ofiarność, które są cechami prawdziwie męskiego charakteru, jaki u narodów Zachodu się nam przedstawia“. Wszystkie przymioty, jakimi się odznacza społeczność angielska, szczególnie jej — *self-respect*, przypisuje autor angielskim kobietom.

Zdaniem jego te tylko narody kolonizować mogą skutecznie i być rozsądnymi cywilizacyi, u których życie rodzinne silnie jest rozwinięte.

Mnóstwo tu myśli i słusznych i dosyć oryginalnych. Tak naprzykład niemiecka szkółka elementarna, która niewiele uczy a mniej jeszcze kształci, osądzona surowo. Ratzel powiada, że Anglik nieumiejący czytać ani pisać często bardzo nieskończenie jest rozumniejszym od czytającego i piszącego Niemca. Wykształcenie w ogóle naukowe, formalistyczne dla autora nie stanowi miary wartości narodu. Codo literatury i geniuszów, ma także zdanie sobie właściwe. Chcemy ocenić wartość duchowego mienia narodu, pisze dalej, nie pytajmy naprzód: „Ilu ma sławnych uczonych, znakomych poetów i artystów“, ale: „Ile ze swych skarbów ducha w powszechnym obiegu monetę obrócił? Ile z tych pięknych kreacyi ducha prawdziwie ludowemi się stały i przeszły na własność ogółu? Można-li po ideach i czynach tego narodu poznać, że wśród niego się zrodzili i obracali Schiller i Goethe? że on miał Dantego lub Cervantesa?“

To, co dalej jeszcze mówi Ratzel o „bohaterach ducha“, zasługuje na przytoczenie. Dowodzi on, że zaród wielkich ludzi jest zawsze w pewnym stosunku jeden w narodzie, ale z tych ziarn jedne wschodzą i rozwijają się, drugie — giną.

Z wielkich ludzi, których przysądza całej ludzkości, a nie krainie, co ich wydała, nie chce, by sądzono o narodach. „Arystoteles powiada (i ma słusność), większy daleko wpływ wywarł na średniowieczną kulturę niż na cywilizację Grecyi, a Shakespeare nigdy w Anglii tak stanowczo nie oddziałał na literaturę, jak w epoce klasycznej na Niemcy“.

Nie możemy, na nieszczęście, bliżej dać poznać tej rozprawy, której ściślejszy rozbiór zbyt wiele zabrałby miejsca; uważamy ją za oznakę pewnego, jeśli nie zwrotu w ideach, to przygotowania do uczciwszych pojęć o stosunkach i prawach narodowości.

W Niemczech byłoby to zaprawdę fenomenem równie zadziwiającym jak szczęśliwym.

Sławny a raczej „osławiony“ Sacher-Masoch, któremu Tissot poświęcił kilkanaście kartek w swej książce o Wiedniu, wydał nowy tom tego czegoś, co się ma nazywać *Legatem Kaima*. Wyszło to razem po niemiecku i po francuzku.

(*Le legs de Cain — Un Testament — Basile Hymen — Le Paradis sur le Dniestrem*). Czytelnicy nasi wiedzą o tem pewno, iż nie jesteśmy wybrednymi zbyt w strawie duchowej, że zdarza się nam spożywać i najprzedziwniejsze przysmaki i — niekiedy najbrzydliwsze bigosy odgrzewane, niekrzywiąc się, z rezygnacją i wyrozumiałością dla tych, co je przyprowadzają. Czytamy co Bóg daje, — a tego to-

mu Sacher-Masocha do końca dociągnąć było nad siły nasze. Mniejsza, że motywa, pod pozorem oryginalności, niedorzeczne, ale takiego „Raju nad Dniestrem“ chybaby już dziś żaden uczeń szóstej klasy nie napisał, a gdyby go napisał, nie śmiałyby go drukować. Tymczasem jaskrawe to bałamućtwo, niemające artystycznej wartości żadnej, niebędące obrazem życia, ani kraju, ani dowodem talentu, — tłómaczy się wnet, wydaje i — rozchodzi. Wiedzieliśmy o tem zdawna, że dla Francuzów potrzeba w pisaniu dużo blagi, kolorytu fantastycznego, dramatyczności, choćby poprzedniejszego rodzaju; lecz żeby taką dozę niedorzeczności, w sposób tak niezgrabny namalowanych, można im sprzedać za wierny obraz jakiego społeczeństwa — to już przechodzi wszelką miarę.

Pierwsze opowiadanie, *Testament*, pomimo, że osnowa jego dziwaczna jest, że autor widocznie krasił jakieś podanie — czy żywy obraz, który gdzieś najrzał — dozwala przypuścić, iż dziwaczna postać pani Warwary schwycona jest z natury. Sposób, w jaki ją zużytkował Masoch, przypomina owe litografie kolorowane, które po jarmarkach sprzedają; ale poza tem wszystkim — któż wie? odrobina jakaś prawdy mogła się zakraść. Drugie opowiadanie, *Bazył Hymen*, jest już fantazją niby na tle galicyjskich stosunków, która się czyta z politowaniem, a *Raj nad Dniestrem* — na to niema wyrazu. Przypuszczamy, że piętnastoletnia panienka, którą różowe paluszki świerzbiałły, skomponowała sobie ten obrazek, posłała go Masochowi, a on — oprawił go w ramki Dniestrowe.

Są-li to żywi ludzie? jest-li to świat mogący egzystować? Pomimo-że Sacher-Masoch nie był nigdy ulubieńcem naszym, że w nim zawsze widzieliśmy więcej komedyanta piórowego niż artystę i pisarza seryo; przecież to, co pisał dawniej, te Don Żuany Kołomyjskie i t. p. było to, bądźco-bądź, choć niezłe karykatury; ale *Raj nad Dniestrem* — to upadek, oznajmujący ostateczny koniec pisarza. Człowiek, który już nie jest w stanie rozoznać tak dalece wartości tego, co pisze, iż nie dojrzy, nie mówię braku natchnienia, ale niezgrabstwa budowy, w myślach — oklepanych ogólników, w całości — rażących poczwarnością rysów — jest — jest już chyba nieuleczonym. Z nieskończenie większym talentem zastąpi go Franzos; nie mamy po czem płakać.

Tego nieszczęśliwego końca można się było spodziewać dla Sacher-Masocha. Człowiek, który sam siebie tak wysoko stawia jak on, nie jest przy zdrowych zmysłach. Już *Prusacy* jego nieudolności pisarskiej dowiedli, a zarazem takie we własnej formie zasklepienie, skamienienie, iż nowego rozwoju, wzrostu, rozkwitu spodziewać się nie było podobna. *Legat Kaima* jeszcze dobitniej świadczy, iż reszty można nie czytać.

W Niemczech śmieją się z Sacher-Masocha; czytelnikom *Revue des deux Mondes*, po pani Sand, umiał przypaść do smaku, zupełnie jak po wytwornych lodach i deserze — sér zgniły. Ale są ludzie co się tem delektują.

Dnia 17 Sierpnia zmarł w Berlinie Teodor Döring, urodzony w Warszawie d. 9 Stycznia 1803 r. Był to najpopularniejszy, najulubieńszy publiczności niemieckiej dramatyczny artysta, wielkiego niezaprzeczenie talentu tak giętkiego, iż zarówno tragiczne role dramatów Shakespear'a, jak komiczne we współczesnych utworach grał, nadając im koloryt zupełnie nowy. Prawdziwe jego nazwisko było Hering, które zmienił jako zbyt trywialne. Pomimo że grał do ostatniej godziny życia i sceny opuścić nie chciał, a raczej nie mógł, ci, co go widywali teraz, dostrzegali już w nim pewne zużycie i przeżycie się. Siły się wyczerpały. Umysł był zawsze żywy i czynny, ale ciało już mu posłuszeństwo wypowiadało. Lindau pisze, że mu czynił wyrzuty za to, iż młodej roli w jednym ze swych dramatów nie chciał mu powierzyć. — Ha! ha! zobaczcie: będziecie musieli do starego Döringa się uciec, będziecie musieli!

Gdy sztuka potem na scenie się nie utrzymała, a raczej całkiem upadła, ucieszył się wielce, że w niej nie grał.

Döring był, nie tylko na scenie, ale w całym swem życiu, artystą; żył tylko sztuką, pisał o niej, i oddalenie się od teatru byłoby go nieuchybnie o wcześniejszą śmierć przypawiło. Ze współczesnych

artystów nie wiem czy który tyle oznak uznania, szacunku i miłości od ogółu i od wyższych sfer społeczeństwa otrzymał, ile Döring w czasie swojego jubileuszu i — w czasie pogrzebu. Tłumy szły za trumną a mogiłę zarzucono kwiatami. Bardzo dobroczynny i uczciwy człowiek, ostrym był tylko dla — sufferów. Przyczyną tego było, że pamięć miał zawsze dosyć słabą i musiał od nich wiele wymagać. Z nimi grymasił. Tysiące anegdot opowiadano o stosunkach jego do budki. Na jednym z teatrów prowincjonalnych nie chciał grać póki sufler — wąsów nie ogolił. — „Nie mogę ścierpieć aby mi huzar suflował! wołał — z pod wąsów nie wydobywa się głos, ale mruczenie“. Stara jejmość sprawująca obowiązki suflera, która mu się nie podobała, musiała dla niego uróżować się i włożyć peruke.

Ulubiony wszystkim, okrywany oklaskami, przy każdym wyjściu na scenę trwożył się jak młodziak i drzał przed publicznością.

Prawdziwie niemieckiem było w nim to, iż znacznieszą część życia spędzał w winiarni, której wdowa po nim przekazała najlepszy portret, jaki pozostał. Tu się z nim schodzili przyjaciele, znajomi i ci, co chcieli sławnego artystę widzieć jakim był w istocie, bo na scenie w każdej roli był to zupełnie inny człowiek.

Gdyśmy już na cmentarzu, wspomnijmy niedawno zmarłego w Warszawie Stanisława Stojnowskiego. Mieliśmy przyjemność widywać go niegdys często w Żytomierzu. Utalentowany, pracowity człowiek ten, był też niepospolicie oryginalnym.

Naówczas już, w roku 1858, pracował nad przekładem Dantego prozą i był niezmiernie nim zajęty. Szło mu o jaknajwierniejsze oddanie wszystkich odcieni języka poety, który pisał w czasach, gdy daleko dobitniej i ostrzej mówić i śpiewać było zwyczajem. Ztąd ciągle wątpliwości przynosił z sobą nad użyciem odpowiednich wyrazów, niekiedy tak jaskrawych, iż ich dzisiejsze uszy znieść-by nie mogły. Obstawiał jednak przy tem, aby poety nie upieknać i nie czynić młdym, dla dogodzenia fantazjom dzisiejszego smaku. Cały jeden wieczór, pamiętam, frasował się mocno nad wyborem pomiędzy *pyskiem* a *mordą* w jednej z pieśni piekła. Swój przekład komedii nosił zawsze z sobą naówczas i pełne go miał kieszenie. Nie ulega wątpliwości, iż dokończyć go musiał, i że pod względem wierności będzie to praca jedna z najsumienniejszych. Pomimo zalet przekładów Korsaka i prof. Stanisławskiego (szczególniej ostatniego) tłómaczenie Stojnowskiego zasługiwałoby na ogłoszenie. Niemcy mają dwadzieścia kilka tłómaczeń Dantego, Francuzi kilkanaście: dlaczegożbyśmy i my kilku ich mieć nie mogli? Stojnowski był ze wszech miar pracownikiem sumiennym, dobrej wiary i miłował trud jak mało ludzi. Dla niego praca była życia warunkiem.

Jesteśmy tu w Niemczech zalani kongresami, W Gratz zjazd Dziennikarzy, w Turynii gdzieś, jeśli się nie mylę, Prawników. Mieliśmy w Dreźnie kongres niemieckich Leśników; słyszymy o wielu innych, które brzmią nieprawdopodobnie, ale są rzeczywistości. W tych dniach kongres Kellnerów, trochę później Fryzyerski, mówiono nawet o Kominiarzach, iż się naradzać mieli. Czemużby nie? Nikomu nie można odmówić prawa starania się o polepszenie bytu i udoskonalenie sztuki swego. Wprawdzie rezolucye tak zwanych kongresów rzadko uwzględniają prawodawstwo, a niektóre z nich mało się rozpowszechniają, zawsze jednak są to jakby punkta wytyczne ku przyszłości, jakby wskazówki tego, co najpilniejsze do zdobycia. Zjazdy tego rodzaju, które za naszych dni powstały i weszły w obyczaj, mogą być nadużywane, wyszukiwane, zwichnięte nieraz; są przecież istotnym postępem i ułatwieniem zamiany, krytyki, obiegu pojęć, w nauce i życiu będących na dzienny porządku.

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena III.

(Vanina modli się, Sampierro cicho otwiera drzwi i wchodzi).

Vanina (przez sen)

Przebaczam ci... Kocham cię... Ave Maria gratia plena....

Sampierro

Modli się... wyrzekła „kocham cię,“ ona się modli za Carla.

Vanina (przez sen)

Przebaczam... i kocham... Ave Maria....

Sampierro (zbliża się)

Zaśnięta—z imieniem jego na ustach....

Vanina (przez sen)

Kocham cię... Sampierro.... Kocham cię, mężu mój... Ave Maria.

Sampierro (kładąc jej rękę na ramieniu)

Vanino... czemuż usta twoje to mówią?

Vanina (przebudza się i wyciąga ku niemu rękę)

O, przyszedłeś—jakiś ty dobry.

Sampierro

Vanino.... ja ci wszystko, wszystko przebaczam..

Vanina (podnosi się)

Przebaczasz? O, i jam ci przebaczyła! Teraz, może już będziesz wierzył słowom moim!... wszakże na ustach umierającej nie postanie jad kłamstwa. Mężu, ty teraz uwierzysz mi, że jedną myślą nawet nie stałam ci się niewierną.

Sampierro

Vanino.... jakże słowa twe z czynami twemi pogodzić?

Vanina

Ja pisałam do Dorii, w którego przyjaźń wierzyłam, aby szanował drogie mi życie twoje... i sam chlubną zaproponował ci zgodę; a on, przystając na to, zażądał tylko, bym wprzódy widziała się z nim sama i powiedziała jaśniej, pod jakimi warunkami mógłbyś przyjąć zgodę.

Sampierro

Czemużeś, czemu nie powiedziała mi o tem?

Vanina

Wszak nie widzieliśmy się aż przed sądem... Możeby nie wierzone, że ja ten ważny krok bez twojej wiedzy zrobiła... możeby, po ostatnim rozporządzeniu senatu, o którym dopiero w więzieniu się dowiedziałam, ciebie wraz ze mną obwiniono o zdradę... Nie śmiałam powiedzieć prawdy, nawet wtedy, gdy owemi zarzuty, cześć moją niewieścią szarpano. Lecz to nic... ty już wiesz, że ja nie winna.

Sampierro (rzuca się jej do nóg)

Vanino, przebacz mi! Zaslepiony zazdrością, nie mogłem... ah, nie chciałem nawet dojrzeć prawdy. Vanino, ja chciałbym z żalu tu umrzeć u twych stóp!

Vanina

Czy ty mnie kochasz?... czy ty mnie kochasz jeszcze, ukochany mój?

Sampierro

Kocham cię i cześć bardziej, niż kiedykolwiek.

Vanina

Kochasz mnie? o, to ja żyć chcę! to ja żyć muszę!... prawda? Ja nie umrę już teraz.... Ty przecież nie pozwolił na to, aby ręka kata ucięła te długie włosy i zimnem żelazem dotknęła białej szyi twojej ukochanej.... Ty nie pozwolił na to, bo ty kochasz mnie. Ah! prawda, to nie od ciebie zależy.... ja przez wasz sąd na śmierć skazana. O, mężu, ratuj mnie!

Sampierro

Nie zginiesz.... uratowaną jesteś, dziecię moje. Sędziom wydany wyrok zasnąć w nocy nie dał; po raz drugi zwołany sąd odwołał wyrok śmierci... (cicho) zmienił go. Mnie pozwolono przyjść, powiedzieć ci o tem.

Vanina (w uniesieniu)

Ah, czysta w oczach twoich, kochana od ciebie, przytulona do piersi twych, jakże będę szczęśliwą!

Sampierro

Biała ty gołąbko moja! czemu pozwoliłaś, abym ja, dziki sęp, zbliżył się do ciebie? Moje ostre szpony rozdarły pierś twoją głęboko!

Vanina (uśmiechnięta)

Nie mówmy już o tem, najmilszy mój—to już minęło, niby straszny sen, co zimnego potu krople zostawia na czole budzonej. Nie chcę o tym śnie pamiętać... ot zapomniałam już trwogi, grozy, bóleści; zapomniałam strasznych słów, co nad schyloną szumiąły mi głową; nic nie pamiętam krom miłości twojej. Widzisz: jam już wesoła—uśmiecham się—a tyś jeszcze tak dziwnie smutny i ponury. Chodź, czempredziej wyjdźmy ztąd... Chodź: oprę się na twem ramieniu, czoło swe dumnie podniosę, i przejdziemy przez cały rynek. Przez rynek prowadzono mnie wczoraj... tłumy ludu szycerco palcami na mnie wskazywały... niech dziś te same tłumy pokłonią mi się i powiedzą: Oto idzie zacna niewiasta, ukochana żona Sampierra. Czemuż nie wychodzimy jeszcze? Tu jęki skazańców, czasem zbrodniarzy, czasem niewinnych jak ja, zawisły chmurą pod tem ciężkiem sklepieniem... tu się ich westchnieniami oddycha. Patrz, tu straszne narzędzia tortur—ot, w tamtym kącie leżą, widzisz? Myślałam sobie niedawno, że bardziej niż ci biedacy cierpiałam tam, przed sądem, gdy mi kleszczami słów szarpano serce i łamano duszę, gdy ty.... ale cóż mówię, wszak zapomniałam o tym śnie! Wyjdźmy ztąd, mężu mój... oto gwiazdy porannej promienie wbiegają przez żelazną kratę....

Sampierro (powoli idąc ku oknu)

Gwiazda poranna... prawda! Gwiazda tli się tak blade, dzień blisko. Vanino, czemu umrzeć teraz wraz z tobą mi nie wolno!

Vanina

Umrzec... na co wymawiasz słowo tajemnicy pełne: umrzeć! Alboż ty wiesz co śmierć? Alboż ty myślałaś o niej w onych walkach krwawych? Nie—ty myślałaś o wyzwoleniu kraju, myślałaś o sławie swojej, lecz nie o śmierci. Ale ja znam ją dobrze; przez całą długą i bezseną noc oswajałam się z nią—aż wreszcie rzekłam: —Pięknym ty jesteś, szkielecie! nie lękam się uścisków twoich! Trumno! ty jesteś kolebką w której splakana, spać będę!

Robactwo grobów! życie wasze jest lepsze, niżli życie na ziemi, gdzie tak mało miłości, a tak wiele nienawiści bywa! I kiedy tak mówiłam, szkielet śmierci kładł na mem sercu rękę, robactwo roło się u stóp mych—a ja nie drżałam. Lecz teraz, teraz, kiedy słońce wschodzić zaczyna, a świat cały zbudzony, rozkosznie się do życia uśmiecha, ja drzę na słowo: „umrzeć.“ Nie wymawiaj go już Sampierro, i chodźmy—bo pięknem jest życie....

Sampierro

Dziecko.... marzysz o współlaem życiu ze mną, a między mną a tobą staje postać ojczyzny mojej i odsuwa cię odemnie.... w dal....

Vanina (tuląc się do niego)

Usuwa mnie? Kto mnie od ciebie usuwa? Kto mnie usunąć może?

Sampierro

Moja ojczyzna, Vanino, usuwa ciebie jedną ręką, a drugą pcha mnie do walki z życiem—aż do końca! Ojczyzna moja otwiera dawne groby, rozburza zielone mogiły, żęgoce kośćmi pobitych, i mówi głosem, od którego serce kamienieje:—„Ramie twoje i serce twoje, do mnie, do mnie należy, a nie do tamtej kobiety.“ Cóż ja mam zrobić, co jej powiedzieć, Vanino? Gołąbko moja, święta moja, klęknij, pros Boga: niech to sklepienie kamienne zawali się nad nami i będzie wspólnym grobem naszym.... Vanino, klęknij, pros Boga: niech wody Tawignanu podniosą się i zatopią nas tutaj... (Spogląda w okno i woła z rozpaczą:) Ah, słońce już wschodzi!

Vanina (drżąca i blada)

Więc daremnie pocieszałaś mnie.... daremnie pokazałaś mi wdzięk życia.... a teraz... wypychasz w grób—a, to bo było bardzo... bardzo okrutnie. (Ciężko oddycha). Więc ja mam umrzeć... teraz, o wschodzie słońca! Nie, ja nie chcę umierać.

Sampierro (biorąc jej ręce)

Nie umrzesz dziecię moje—nie—ale do matki odpłyniesz....

Vanina

Odpłynę... a więc zmieniono wyrok na wygnanie... a więc, według pierwszego zdania sądu, nie tyle zdradzam Korsykę, ile męża.... więc dawałam się na miłosną schadzkę z Dorją! więc wygnanie i hańba kobiety... wygnanie i hańba... gnanie i hańba.... Nie—nie chcę—wolę śmierć. A ty, ty przyszedłeś pożegnać mnie, myśląc, że jestem wiarołomną żoną.... jakiś ty dobry! Teraz wiesz, że tak nie jest; ale tamci nie uwierzą, i świat cały nie uwierzy. Więc wygnanie... mam iść okrętą w kajdany pogardy ludzkiej... iść z głową spuszczoną w dół... i mam tak żyć bez ciebie? Nie chcę!

Sampierro (łagodnie)

Do matki wrócisz, dziecino.

Vanina (z krzykiem rozpaczony)

Ah! ona mnie przeklnie i odtrąci! Nie chcę życia, ni słońca; wolę już grobu cień. Przywykłam już do śmierci—noc całą pieściła mnie; pod otknięciem jej wszelki ból serca ustawał. Sampierro, idź, i powiedz im, że ja nie chcę być wygnanką—jednobym tylko chciała....

Sampierro

Co takiego, Vanino?

Vanina

Czemu nie wzięłaś ze sobą sztyletu?

Sampierro

Straszna myśl!...

Vanina

Heż-to razy, ocalając kochankę, córkę lub żonę, przed okropnym losem branki, ukochany zadawał

jej cios śmiertelny? Umrzeć z ręki kochanej, miło i dobrze jest. I naprawdę, nie masz sztyletu z sobą? idź, przynieś—proszę cię. Idź, ja obnażę pierś wierną i kochającą, pierś mą dziewczyną, na której nie spała jeszcze głowa twoja: ty ją dotkniesz sztyletem, a zbawisz mnie od goryczy, od hańby wygnania. (*Przyciska ręką piersi*). O, jak mnie boli... tam wewnątrz już śmierć na mnie czyha... I cóż, mój drogi, czyż nie poradzisz nie swojej biednej żonie? Może masz jaką truciznę, dajże mi choć kropelkę... jam taka słaba, tak oddychać nie mogę—w głowie mi szumi—w oczach ciemno; jedna kropelka, ot tyle, co dla ptaszka, wystarczy dla mnie. (*Sampierro, milcząc, stoi, zakrywając twarz dłońmi, ona rozsuwa ręce jego*). Ah, ty płaczesz za mną? ty, Sampierro, płaczesz? a, dziękuję ci.—O, bądź błogosławiony za te łzy. Kochanku, mężu, gdyby umrzeć w objęciach twoich!

Sampierro (*przytula ją*)

Chodź do mnie, moja Vanino.

Vanina (*w objęciach jego*)

O tak... czując na twarzy gorące twoje łzy—tak, oddychając twoim tchnieniem, tak, pierś przy piersi... usta przy ustach... Jak ten uścisk podobny, a inny przecież niż tamten... w wieczór poślubny!... Dwa takie pocałunki z ust twych, ot, i całe życie początek i koniec... Ale jestem kochaną, Sampierro, przytul mnie silniej do siebie... W piersiach mnie boli, dusi, oddychać nie mogę... ale, ale mi dobrze... Zdaje mi się... że w twoim uścisku... konam... oh! (*On ją całuje w czoło, usta, oczy, — powoli ramiona któremi obejmowała szyję jego, opadają bezwładnie—ona osuwa się jak zemdlona*).

Sampierro

Zemdlą! Vanino, Vanino moja!

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów we Wrześniu.

Na tle ogórkowego sezonu, który świeżo przeżyliśmy, zarysowała się wybitnie ciekawa dla archeologów naszych sprawa odkrytego w jednej z pomniejszych rzek galicyjskich skarbcia królewskiego z doby bardzo odległej, w stosunku do znanej epoki historycznej kraju naszego, mającej słusze prawo do nazwania się omal nie przedhistoryczną. W Michałkowie, włości powiatu Borszczowskiego, na granicy austriacko-rossyjskiej, ku Podolu, przypadek odkrył na brzegu rzeki, wśród piasku przez nią z łożyska wymytego, zbiór przedmiotów należących do niewiadomego, bardzo starożytnego króla. Wszystkie te przedmioty wyrobione są ze szczerzego złota; szczególną zwraca uwagę nader kosztowna korona, naramienniki, kłamy i t. d. Ponieważ w okolicy tej niema śladów zapadłego grodu lub zamku królewskiego, przeto nasuwa się nieprzeparcie pytanie, że wydobycie na jaw tak wspaniałego skarbcia królewskiego w tej okolicy z łona ziemi czy łoża rzeki prowadzi na tor jakiegoś nieznanego faktu historycznego jakiejś bitwy lub ucieczki monarszej. Zbadanie historycznej epoki, w której skarbiec mógł być powierzonym wnętrzu ziemi, tudzież wypadku, z którym połączone było jego zniknięcie z powierzchni, zatrudni wielu niewątpliwie badaczy; dotąd, z powodu, iż we Lwowie niema fachowych archeologów, wyjaśnienie rzeczy nie weszło nawet w przedstępny okres, bo nie możemy nazwać wyjaśnieniem tak fantastycznej hipotezy, jaką wypowiedział dr Alexander Pragłowski, jakoby wydobyty skarbiec należał do sławnego króla Cyrusa, który miał go postradać w wojnie z Massagetami, te ziemie wrzekomo w owej epoce zamieszkującymi. Nie wspominam już nawet o innych tego charakteru naukowych przypuszczeniach, a tembardziej nie ośmielam się własnych wyrażać domysłów, w prze-

konaniu, że zbadanie wieku i etnograficznej przynależności Michałkowieckiego skarbcia stanowi prawo i obowiązek Akademii Umiejętności. Dodam jeszcze tylko, iż skarbiec ten, złożony z przeszło 30 przedmiotów, nabył niezwłocznie do swoich zbiorów hr. Włodzimierz Dzieduszycki za cenę kruszcem, t. j. 6,000 złr. licząc po 30 złr. za łut złota. Na widok publiczny był on wystawiony przez czas dłuższy w tutejszem Muzeum techniczno-przemysłowym.

Początek Września przyniósł nam otwarcie tegorocznej wystawy sztuk pięknych. Pisząc nazajutrz po otwarciu wystawy, zaledwo mniejszą część nastroczającego się materiału do krytycznej oceny będę mógł zużytkować; wyczerpujące rozprawienie się z tym przedmiotem już dzisiaj okazuje się i dla tego niemożliwym, że wadliwy regulamin wystaw naszych nie wymaga bezwzględnie od artystów, ażeby dzieła swoje nadsyłali w oznaczonym terminie. Dlatego-to w dniu otwarcia wystawy sale świecą zwyczajnie po połowie pustkami i dopiero w parę tygodni zbiór dzieł wystawionych uzupełnia się do cyfry prawidłowej. I teraz przeto o zasobach wystawy tegorocznej nie może dać żadnego wyobrażenia liczba obrazów i rzeźb, które możemy już w tej chwili oglądać. Z grona ich wybiorę przeto dzisiaj niektóre tylko cenniejsze, pragnąc coprędzej podnieść artystyczne znaczenie kilku nowych imion w dziedzinie malarstwa, tudzież kilku dzieł niepoślednio wzbogacających sztukę ojczyzną w tym zakresie.

Pan Henryk Gottlieb, uczeń szkoły wiedeńskiej, a następnie monachijskiej, w rzędzie celniejszych malarzy krajowych nosi najmłodsze imię, a mimo tego utwory jego poraz pierwszy oczom rodaków przedstawione na zeszłorocznej wystawie lwowskiej, obudziły tak powszechne zajęcie, że sprawozdanie z obecnej, skoro nie może postawić na swoim czele imion Matejki i Siemiradzkiego, nie zastanawia się długo nad punktem wyjścia, ale odrazu natrafia nań w dziele najnowszym p. Gottlieba. Artysta, jak wiadomo, pochodzenia żydowskiego, dotychczas szukał motywów wyłącznie w kole typów żydowskich. Obecny obraz jego pozostał wiernym tradycji swych poprzedników, a jak się dowiadujemy, p. Gottlieb bawiący obecnie we Lwowie, pracuje nad dziełem, które będzie, że tak powiem, idealnym wyrazem jego kierunku, poczerpniętym jednak z tła narodowego. Obydwa bowiem zeszłoroczne obrazy Gottlieba: „Uriel Acosta“ i „Shylock“ były komentarzami do obcych poematów i typami, to holenderskiej, to włoskiej, społeczności. Tegoroczny zaś, przedstawiający: „Modlących się żydów“, daje nam już synagogę polską, ale nie wiąże jeszcze treści obrazu z resztą społeczności rodzimej poza obrębem żydowskiego plemienia. Dopiero kompozycja wielkich rozmiarów, nad którą dzielny ten młody malarz rozpoczął w ostatnich czasach pracę, zbliży go do duszy narodu i do powszechnej sympatyj. Będzie to bowiem: „Kazimierz nadający statut żydom“; jak widzimy przeto, rzecz historyczna, postać otoczona chwałą i miłością narodu, moment w rozwoju pojęć cywilizacyjnych u nas jeden z najwspanialszych. Jeżeli p. Gottlieb wywiąże się z tego planu należycie, o czem wątpić nie wypada, sądząc po planie dotychczasowym, natenczas zajmie w sztuce polskiej stanowisko jedno z najczciwodszych, oparte na gruncie talentu i uczuć obywatelskich, tak wymownie wyborem przedmiotu uwydatnionych.

„Modlący się żydzi“, malowidło dużych rozmiarów, wprowadza nas we wnętrze synagogi. Spotykamy tu mężczyzn i kobiety—te ostatnie pomieszczone na wzniesionej nieco galerii. Różnobarwne, koliste okna rzucają wiele gorącego światła do sklepionej sali; światło to muska i owiewa subtelnym, srebrnym puchem draperyę szafirową zasłony; twórca rozwiesił ją w ten sposób, że stanowi ona ostatnie tło obrazu, z którego różnowzore kostiumy żydówek, a zwłaszcza ich lśniące blaskiem pereł i srebrnego szychu dyademy tem plastycznie odbijają. Na pierwszym planie, około przestronnej ławki, ugrupowało się grono żydów; jedni siedzą w ławce, inni opierają się o nią i t. d. W grupie tej, a raczej w duchowych kontrastach fizyognomij, tkwi wewnętrzna charakterystyczna ośnowa i przewodnia myśl obrazu. Artysta pragnął odwzorować

rozmaite typy „Modlących się żydów“; każdy z nich inne wprowadza do swej wiary warunki indywidualne, inne usposobienie, temperament, i według tego pojęcia jednej i tejże samej religii modelują się w odmienne kształty u rozmaitych jej wyznawców. Starzec w śmiertelnej koszuli, stanowiący środek grupy, jest przedstawicielem tego, znikającego już dzisiaj, typu patryarchów starego obyczaju, dla których święte księgi nie są tylko martwym podręcznikiem rytuału, wykonywanego bez przeświadczenia, bez zapafu, bez zrozumienia nawet—li dla zadosyćczynienia ścisłej literze zakonu. Starzec ten, o łagodnym, extazą religijną wyszlachetnionem, obliczu, ukochał te księgi najgorętszą miłością duszy, może ich nawet gruntownie nie pojął; ale szczytna wzniosłość ich przepisów moralnych, ale tajemniczy mistycyzm ich przepowiedni, tak głębokim śladem wyłobiły się na miękkiej, extatycznej jego duszy, że zdaje się, jakgdyby się karmił i oddychał tylko poezją ksiąg tych, jakgdyby one stanowiły urok i balsam jego życia. Jestto postać pojęta nawskroś idealistycznie—zdawałoby się, że ten biblijnie natchniony, z taką zataśkioną żrenicą patrzący w górę, starzec nie zdołałby zbrudzić się w życiu nietylko żadną szacherką, ale nawet nie umiałby znaleźć się w opartej na zimnym rachunku sferze materialnych interesów. A jednak zdarzało nam się już nieraz widzieć żydów podobnie rozmodlonych aż do extazy w synagodzie, a najtrywialniejszych w praktyce życia i najrealistyczniej usposobionych na targach złotego kruszcem. Odmienny nastrój ducha religijnego przedstawia żyd, siedzący na stołku poniżej ławki a trzymający przykazanie w ręku. Charakter to widocznie bardziej refleksyjny, twardy, ponury. Księgi nie ogrzały go duchem miłości, ani on nie ogrzał ich martwej litery duchem głębokiego pojęcia treści. Siedzi milczący, skupiony w sobie, oparty na cokołach tych twardych przepisów, które trzyma w ręku, nieskłonny w danym razie do żadnych układów z duchem postępu i cywilizacji. Tradycya, która do tamtego przemawia etyczną wzniosłością i pięknem nowych form, znajduje w tym swój czasowy fundament—gotów on jej bronić z zimnym, ponurym, upartym fanatyzmem. Jako stanowcza antyteza tej postaci postaci, w której zaciętości tkwi jakiś fatalizm tragiczny, stanął obok niej młodzieniec w malowniczo udrapowanej, białej, w pasy różnobarwne zdobnej koszuli śmiertelnej; twarz jego blada, myśląca, marzycielstwem silnie nacechowana, zdaje się wyobrażać ducha reformy humanitarnej w łonie judaizmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LAMARTINE I JEGO PRZYJACIELE.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Lamartina w Maçon, wcale skromna i przez mały udział wyższych sfer inteligencji francuskiej bardzo nawet uboga, przypominała jednak pamięci ludzkiej poetę i męża stanu, który dlatego przecież nie doznał u grobowego swego kamienia hołdu czci ogólnej, że jako charakter nie umiał się utrzymać na wysokości swego podwójnie dostojnego stanowiska. Nie był on wprawdzie sprzedajny, na żołądzie niczym nie zostawał; nie przyjmował na spokojne lat młodych używanie łaskawego chleba, ale nie umiał utrzymać się przy wstrzemięzliwej prostocie Washingtona, którego pierwowzór zdawał się odzwiercać przez jedną, piękną chwilę swego istnienia, i obdużony przez życie nad stan, marnotrawność i zbytki, lubiący używanie bez troski, wystąpił na starość przed tłum, trzymając w jednej ręce lirę, gdy drugą zpod purpury konsularnej wyciągał po jałmużnę, jak ślepy Belzaryusz. Francya uczyła się tem dotknięta i zawstydzona, a wypada to na pochwałę i korzyść naszego czasu, wykazuje to postępek moralny i podniesienie pojęcia godności ludzkiej nad poziom wyobrażeń XVIII stulecia, że zaćmiło to zkadinał jaśną aureolę niepospolitego człowieka. Wprawdzie tkwiła w tem pewna uczciwa chęć spłacenia długów, była i praca łożona mozolnie na smutne au-

torstwo dla grosza, niepowetowaną przeciw szkodę przyniosła Lamartinowi niezręczna i niska reklama, odwoływanie się do worka ogółu w imię zasług przeszłych — prac dla dobra kraju łożonych. To było poniżającym i nieszlachetnym, to w połączeniu z osobistej dokonywaną i naprzód ogłaszającą się sprzedażą dzieł swoich, więc z pokazywaniem osoby własnej za pieniądze, rzuciło czarną zasłonę na dwa wieńce, które czoło mu zdobyły: na koronę z wawrzynu i tę drugą, może najwyższą, najpiękniejszą z ziemskich — na obywatelską koronę z dębowego liścia. Dzieje literatury nowoczesnej przedstawiały już poprzednio położenie, zdające się na pozór podobne — ale jakże różnym było ono w gruncie! Walter-Scott został też nagle zubożonym na starość, zadłużonym przez bankructwo wydawcy swego, z którym we wspólnie zostawał i którego upadek pociągnął za sobą majątkową ruinę autora „Waverleya“, co przecież nie stało się ani na moment jeden ruiną duchową podeszłego już wiekiem pisarza. Bo też nie stracił on majątku jako marnotrawca, jako człowiek dogadzający rozrzutnym zachciankom fantazji swoich, więc słabość charakteru, nieodpowiedzialność moralna nie była tu konsekwencją rzeczy konieczną, i oto z energią uczciwego, dumnie rzetelnego człowieka, Walter-Scott netylko oddaje wierzytelom, u których nigdy nie nie pożyczał, dom swój ukończony i całe posiadane mienie, ale nie chce korzystać z ich współczucia, nie chce przyjąć umowy przychylnie dla niego ułożonej i jedynym dobrodziejstwem, którego się nie wstydi prosić, jest wypłata na raty i zwłoka pozwalająca mu na zebranie odpowiedniego funduszu. I Walter-Scott zwrócił się po ten fundusz do pióra, to jest do pracy, ale do pracy jedynie — do szlachetnie, dostojnie podjętej pracy, której nie towarzyszyła reklama, żebracza spekulacja na sławę dawną. Sił mu braknąć zaczynało, ale on na to nie zważa, umrze schyłony nad papierem, ale dokona obowiązku zacnego człowieka, który nawet pośrednio nie chce nikogo zarwać, nie chce pozostać niewypłacalnym. To też sympatya całego kraju, całego kraju szacunek otaczają go, rząd daje do dyspozycji jego statek, mający przewieźć znużonego do Włoch, gdzie pod niebem łagodnym spodziewał się jeszcze powrotu do sił. Choć utwory jego, pisane w tym czasie, już były wiele słabszymi od dawniejszych, choć dawne natchnienie nie chciało zstąpić na czoło, cieniem śmierci już okryte, niemniej publiczność czytająca rozchwytała je, i tym sposobem spłacała dług wdzięczności dla sławy narodowej, która umiała wielkodusznie zachować się jasną i nieskażoną do końca.

Francuzki poeta nie potrafił tego. Spekulacja na litosie ogółu, liche sztuczki na ściąganie prenumeraty i uzyskanie w ten sposób grosza, któryby pokrył deficyt, spowodowany przez zbytek i lekkomyślność płocho pędzonego życia, poniżyły Lamartina i odebrały mu właśnie to współczucie, z którego chciał sobie zrobić kopalnię nowego Potozu. Dla poczytności poświęcał on swoją godność pisarską, dumę poety, i nawet najprzychylniejsi mu nie mogą tego nie przyznać. W nowej edycji dzieł swoich, w edycji zwanej „des familles“ zmienił ostatni wiersz prześlizniętej poezji: *Lac*, i zamiast: „Tout dit: ils ont aimé!“ — napisał: „Tout dit: ils ont passé!“ co spowodowało ze strony pani Girardin złośliwą propozycję, aby w następnym wydaniu było: „ils ont fumé...“ Otóż Henryk de Lacretelle, przyjaciel domu, od dwudziestu lat życia swego dopuszczony do boku poety, wyznaje w świeżo wyszłej książce swojej: *Lamartine et ses amis*, że daremnie prosił wtedy pana Lamartina o przywrócenie pierwotnego tekstu, i dowodząc, jak to psuje rzecz bardzo piękną, posunął się aż do otwartego wypowiadania, że takie rzeczy przyniosą wstyd poecie. Zarumienił się też człowiek słaby, przecież odpowiedział: — „Cóż chcesz, mój drogi... pani de Lamartine przejrzała już korekty, a zdaniem jej sprzeda się w Anglii z tą zmianą pięćdziesiąt egzemplarzy więcej.“

Po chwili dodał wdychając: — „Długi moje zmusiły mnie do wielu podłości (des lâchetés).“

Wszystko to bynajmniej nie usprawiedliwia natury mizernej, tylko w dodatku zdziera urok z osoby obok stojącej. Żona nie uchowała męża od wad, od słabości grzesznych, które go do ruiny przywiodły: od rozrzutności, nieporządku w intere-

sach, od zbytku wespół z nią dzielonego, gdy przecież przyszło bankructwo a z niem bieda, każe mu dla sprzedania pięćdziesięciu egzemplarzy więcej popelniać rzecz nędzną, która pokazuje przecież, że nie sława męża, nie jego godność mieściła się u tej kobiety na planie pierwszym.

Biedak nie miał Beatryxy swojej!...

I przyjaciel, można powiedzieć, był nieszczęśliwym. Wyznaje on w innym miejscu książki, a już bez żadnej potrzeby, nie powodowany względami konieczności żadnej, że Lamartine nie był wcale tą naturą czystą i idealną, za jaką się w pismach swoich przedstawiać zdaje, że wspomnienia jego są nieszczerze i fałszowane, a kochanek Grazielli, Rafael, to bynajmniej nie wicehrabia de Lamartine w dwudziestym roku życia. W tym samym dniu, w którym już siwowłasy autor ukończył tę książkę, pisaną ze wspomnień młodzieńca, czytał ją owemu pseudoprzyjacielowi, który dopuścił się aż podstępnie dla dowiedzenia się, jak dalece rzecz jest prawdziwą, aby potem tę podchwytaną prawdę niedyskretnie, nieszlachetnie nawet w książce swej ogłosić, czy dlatego aby ją skandalikiem zaprawiwszy, ciekawszą uczynić, czy też, chcąc podnieść przyjaciela przez dodany mu przymiot tężyzny donżuańskiej? Wobec tego nie wydaje mu się rzeczą zdrożną napisać, że wedle uczynionych mu wtedy zeznań samego Lamartina, Rafael, jakiego czytelnik w książce znajduje, to nawet nie ideał jego niedosięgnięty, ale „uczeń Jezuitów z Bellay.“

Jeżeli przecież starość miała upadki i nędze swoje, jeżeli człowiek słaby pod naciskiem trosk i kłopotów, przez lekkomyślność swą sprowadzonych, schodził na coraz niższy poziom, i z poety stał się handlarzem natchnienia dawnego, młodość miała szczerze chwile zapału, chwile gorącej miłości ideału i charakterystyczną jest anegdota, nie objęta przez *Confidences*, a która wykazuje, jak młody chłopiec, czujący we własnej piersi pierwsze budzenie się poetycznego natchnienia, otaczał namiętnem uwielbieniem tych, którzy na piedestałach wysokich stali już w świątyni poezji. Pani Staël jako autorka *Korynny*, wzbudziła w nieznanym jej chłopcu uczucie żywe jak miłość i poznać ją, ujrzeć choć zdaleka, stało się pragnieniem tak nieprzepartem, że raz pod silniejszym uczuciem tych wzruszeniem, wykradł się z domu — jak się zdaje z Bellay — przed świtem i biegł pieszo do Genewy, pod żarem dnia bardzo upalnego, aby nad wieczorem znużony, kurzem okryty, paść w rów przy drodze, na której spodziewał się ujrzeć tę, która w jego oczach była czemś nadziemskim i bogini bliżkiem. Na szczęście nadzieja go nie zawiodła: po chwili nadjechał powóz odkryty, a w nim dama w kapeluszu z dwoma białymi piórami, żywo coś dowodziła obok siedzącemu jegomości z dobrodusznym uczuciem fizyognomią. Był to Schlegel a pani Staël, wiodąca z nim rozprawę metafizyczną, ani się domyślała, że jedna z przyszłych sław Francji została okryta tumanem kurzu, wzbitego z pod kopyt jej koni. Lamartine powędrował z powrotem nocą i jakie myśli, jakie marzenia, tęsknoty i porywy wznosiły pierś jego, jeszcze wtedy wolną od słabości późniejszych: pozowania, próżności lekkomyślnej i tej miłości własnej — bo dumą nazwać tego nie można — która kazała mu potem drapować się tak często w tunikę Apollina, i pomniejszając w nim człowieka, nie dopuściła może, aby gorętszy, wyższy polot natchnienia wznosił go w sferę geniuszu. Niewątpliwie człowiek zabijał w Lamartinie pisarza, który w każdym razie, stojąc obok Wiktora Hugo, jest jednym z dwóch najwyższych poetów nowożytnej Francji.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Kongres kobiecy w Paryżu został według zapowiedzi zamknięty dnia 10 Sierpnia, nie odpowiedzawszy szerokiemu zakresowi swego programu. Ponieważ posiedzenia jego nie były publiczne i trzeba było posiadać albo zaproszenie od zarządu kongresu, albo zezwolenie wejścia, liczbą nie przechodziły one nigdy wiele więcej nad dwie-

ście osób, z których zwykle połowę przedstawiały kobiety. Francuzki wzięły w nim bardzo nieznaczny udział i nawet początkowe zachwianie się redakcyi: *Avenir des Femmes* w myśli powziętej, pochodziło z braku sympatyi kobiet francuzkich, a co zatem idzie, i z braku funduszy na urządzenia odpowiednie. Ale komitet włoski, który zawiązał się natychmiast po nadeszłym z Paryża zaproszeniu, już nie chciał rzeczy zaspać i jak to donosi *La Donna* nadesłał odpowiednią potrzebie sumę, zajął się nawet sam wielu szczegółami, które rzecz w wykonanie wprowadziły. Wogóle cechą kongresu była abstrakcyjność i nie realnie pożytecznego on nie przyniósł; mówiono, możnaby powiedzieć, deklamowano, o prawach kobiety na stary sposób i żadna rzecz nowa, żadna korzyść rzeczywista dla kobiety, dla rodziny, nie wyszła z tego zebrania, nie wystąpiła z jego łona jako myśl w następstwa płodna, jako zamiar czegoś, coby upamiętniło kongres i stało się zachętą dla przyszłych zgromadzeń tego rodzaju. Niemcy nie były tu wcale reprezentowane, i zdaje się, że początkowo nie zaproszono ztamtąd nikogo do komitetu organizującego, a zaproszenie, jakie dostała następnie redakcyja pisma, będącego organem niemieckich kobiecych stowarzyszeń: *Organ des Verbandes deutscher Frauen-Bildungs- und Erwerbs-Vereine* — wyszło już od podjętego przez komitet włoski zarządu i Niemki obrażone nie stawily się wcale. Z kobiet angielskich nie widziano między występującymi żadnej zaznaczającej się osobistości, i możnaby też powiedzieć, że przedstawiały kongres szczególnie Włochy i Ameryka. Charakter jego był skrajny i dlatego zapewne nie zajmował się on prawie szczegółami pożytku praktycznego, kładąc przeważny nacisk na myśl jedną: zrównanie prawne i polityczne kobiety z mężczyzną. Z rodzinnych obowiązków kobiety podniesiono jedynie macierzyństwo; pani Ward Howe, amerykanka z Bostonu, a wice-prezydentka kongresu, przemawiając na pierwszym posiedzeniu parafrazowała motto przyjęte przez Francuzki: *Liberté, Fraternité et Maternité* przy wielkich oklaskach zgromadzenia. Żądała ona od społeczeństwa większego niż dzisiaj uwzględnienia kobiety-matki, żądała prawa, przez któreby gmina przychodziła z pomocą matkom samotnym, co zostało zaliczonym przez wotowanie do postanowień kongresu, jakkolwiek wystąpiła z opozycją Angielka, dowodząca, że gminy jej kraju nie przyjmą nigdy zobowiązania takiego, że zatem postanowienie jest według niej niepraktycznym, bo niewykonalnym.

Głos p. Howe zaznaczył się talentem. Jednym i konsekwentnym zdań rozwijaniem, przeciw zła wymowa francuzka byłaby uczyniła rzecz dla słuchaczy niezrozumiałą, gdyby nie dykcyja bardzo powolna i wyraźna. Druga Amerykanka: Miss Graham z Chicago, przemawiająca po p. Howe, oraz Marya Mozzoni, Włoszka, delegowana na kongres od włoskiego ministerium oświecenia publicznego, podlegały w wyższym jeszcze stopniu wadzie złej wymowy francuzkiej, a że nie złączyły jej z ostrożnością swej towarzyszkii, połowa więc tego, co czytały, została niezrozumianą. Obie mówczynie, podobnie jak i Mrs Howe, należą do skrajnych bojownic na polu emancypacyi; signorina Mozzoni, Medyolanka rodem, miałyby wielkie zasługi w kierunku podniesienia oświaty kobiet włoskich i pracy pedagogicznej, gdyby nie zasady, nie realizm materializmu blizki, nie odrzucanie wszelkich pojęć idealnych, co sprawia, że energiczna jej działalność więcej za szkodę niż na pożytek Włoch wychodzi.

Na prezydentkę kongresu wybraną została Francuzka, panna Marya Deraysme, osoba wymowna i rozumna, ale rozumna w kierunku sig. Mozzoni, przeciw przez skromność jakąś nie przyjęła prezydentcy, zdając zaszczytny ten urząd na dr Antide Martin. Ona jednak mową swoją otworzyła rozprawy kongresu. Przyznano jej jako mówczynie zalety niepospolite: żywość, potoczność i świetność słowa. Kongres został zamknięty bankietem urządzonym w Saint-Mandé, brało w nim udział osób dwieście. Prezydowała signora Venturi z pomocą włoskiego deputowanego Bertini.

Kongres uradził: zmiany artykułów karnego i cywilnego prawa, utrzymujących nierówność kobiety w stosunku do praw używanych przez mężczyznę,

szkoły wspólne dla płci obu, przyznanie kobiecie praw politycznych, nieposiadanych dotąd. Żądał także kongres prócz opieki nad matkami samotnymi, opieki nad kobietami wychodzącymi z więzienia, oraz ułatwienia rozwodów. Już-to wogóle stosunek małżeński nie zdawał się liczyć przychylnych sobie między reprezentantkami kobiecości na kongresie.

Stronnictwo emancypacji skrajnej poniosło w parlamencie angielskim stale powtarzającą się porażkę: bill, żądający dla kobiety prawa wyborczości, odrzucony został przez 220 głosów przeciw 140. Stronnicy upadłego wniosku pocieszają się tem przecież, że rokrocznie zmniejsza się ilość głosów nieprzychylnych, za ostatnich bowiem rozpraw nad tym przedmiotem (1876 r.) głosów przeciwnych było 239. Wprawdzie i głosów przychylnych było więcej, bo 152, ale ubytek tłómaczonym zostaje najpierw przez wypadkowe usunięcie się z Izby Niższej sześciu stronników głosowania kobiecego, następnie przejściem do Izby Wyższej sześciu innych, na co jednak odpowiedzieć można, że sprawa czyniąca postępy, zapełnia natychmiast wszelkie luki swoje. Deputowany Courtney, który odrzucony był popierał, oświadczył zgromadzeniu, że nie uważa sprawy za przegraną, gdyż obrońcy obywatelskich praw kobiety będą niezmiennie występować dopóty, aż doczekają się słusznego wymiaru sprawiedliwości. Zapowiedział przytem, że kobiety angielskie wystąpią wkrótce z żądaniem, aby sądy przysięgłych przyjęły je w grono swoje.

Angielskie miesięczne czasopismo: *Wiek dziewiętnasty* zamieściło w numerze za Czerwiec rozumowany artykuł pod tytułem: *Przyszłość kobiet angielskich*, w którym autorka, Mrs Orr, wykazuje niebezpieczeństwa coraz silniej wzrastającego ruchu emancypacji kobiecej. Według dowodzeń, któremi wniosek swój popiera, pierwsze kroki na tej drodze wydawać będą owoce ładujące dobre, natura kobieca dojdzie do możliwie świetnego zdolności swych rozwoju, ale zaraz po drugiej stronie tej wyniosłości ukaże się groźna pochyłość i ostatecznym rzeczy wynikiem będzie rozkład społeczeństwa, albowiem ruch, którego widzimy początek dopiero, jest w stosunku do rodziny i domowego życia ludzkości odśrodkowym. Na to Mrs Fawcett, żona ekonomisty należącego do angielskiego stronnictwa demokracji socjalistycznej, odpowiedziała w Sierpniowym numerze tegoż samego pisma artykułem, noszącym tenże sam tytuł: *Przyszłość kobiet angielskich*. Uważając obawy swej przeciwniczki za urojone i niemające podstaw żadnych, zbija je, a przybierając sobie do pomocy powagę Cromwella, przytacza jego zdanie, iż nie jest ani mądrą, ani sprawiedliwą rzeczą pozabawiać człowieka wolności na zasadzie tego jedynie przypuszczenia, że jej nadużyć może. — Sądźcie go wtedy, gdy to uczyni — powiedział i Mrs Fawcett żąda dla kobiety podobnego sądu, któryby się opierał na zasadzie czynów spełnionych, a nie hipotez luźnych. „Sądźcie ją podług tego jak używa wolności już posiadanej, a nie nadużyć wolności wymarzonej, o jakiej nie możemy jeszcze posiadać żadnego doświadczenia“, pisze z pewną szydzącą surowością, a choć zdaje się jakgdyby zajmowała się wyłącznie kobietą i rodziną angielską, dotyka jednak kobiety i rodziny wogóle, bo zasady moralne podstaw życiowych jednakowe są u wszystkich społeczeństw, które się rozwijały na gruncie wspólnej cywilizacji europejskiej.

W kierunku wyższego wykształcenia, w kierunku wiedzy i nauki wyższej kobieta angielska zrobiła krok ważny i powiedzieć można stanowczy: uniwersytet Londyński po długich i żywych sporach w łonie własnym, zmienił na korzyść kobiet stare swe ustawy i dopuścił je na wszystkich swych fakultetach do wszystkich tych korzyści i zaszczytów, jakie dotychczas były wyłącznym

przywilejem mężczyzny. Wskutek tego kolegia uniwersyteckie już urządziły odpowiednio wykłady swoje i z rokiem szkolnym, który się rozpoczyna, kobieta znajduje otwarte drzwi wszystkich auli, do których tylko wejść jej pozwoli z pożytkiem poprzednie przygotowanie naukowe. Niektóre wykłady będą dla studentek i studentów wspólne, niektóre oddzielne; na wydziale lekarskim dzieje się to w skutek drażliwości pewnych przedmiotów, na wydziałach innych — ma miejsce tylko przy kursach pierwszych, gdyż obecnie kandydatki wyjątkowo jedynie mogą się znaleźć przygotowane do słuchania wykładów wspólnych. Z postępowaniem czasu, to jest z odpowiednim stanem rzeczy podniesieniem średnich szkół kobiecych, ostatnia ta rozdzielność przypuszczać nie należy, jako pozbawiona zasady, gdy zaś pierwsza — przy naukach medycznych — nigdy usunięta być nie powinna, chyba według przypuszczeń p. Orr, kobieta przyszłości zatraciła dzisiejsze kobiecości przymioty.

Spodziewają się również, że uniwersytety w Cambridge i Oxford, oraz uniwersytet Edynburski otworzą się wkrótce dla kobiet, jakkolwiek uniwersytet w Cambridge był im pośrednio już otwarty przez wykłady profesorów tegoż uniwersytetu w sąsiadującej z niemi szkole wyższej dla dziewcząt, *Girton College*. Wykazywało się to dowodnie przez uzdolnienie uczennic tej szkoły, okazywane przy egzaminach dla kobiet w tymże uniwersytecie składanych. Podobną kommisję egzaminującą urządził obecnie uniwersytet Oxfordzki, a zaraz też utworzyła się pod jego bokiem wyższa szkoła dla dziewcząt, pragnąca pod względem doniosłości naukowej stanowić jak *Girton College*, kolegium uniwersyteckie, jakkolwiek jeszcze bez urzędowej nazwy.

Jestto faktem godnym uwagi, że jak w Londynie *Szkoła medyczna dla kobiet* bynajmniej o rozwiązaniu się nie myśli, choć przystęp na fakultet medyczny uniwersytetu otwartym został dla kobiet, a raczej wznaga się na siłach przy pomocy znacznego zapisu, uczynionego jej przez zmarłą Mrs Oakes z Sidney, tak i szkoły inne, pragnące przez wykłady swoje zrównać się z kolegiami uniwersyteckimi, w podobny sposób dźwigać się usiłują i dźwigają rzeczywiście. Zapowiada to, że Anglia nie przystanie nawet w szkole najwyższej na edukację mieszaną, że wytworzą się w kraju dwa dzia-

ły uniwersyteckie, istniejące obok siebie: kobiecy i męzki, szczególnie, gdy przejdzie czas pierwszego rozdrażnienia, wywołanego dziś przez spór o źródło wiedzy, które pewne gwałtowne osobistości kobiece szturmem zdobywać chciały, gdy z drugiej strony zastęp upartych mężczyzn bezwzględnie im tego bronili. Kobieta ma niezaprzeczenie równe z mężczyzną prawo do wiedzy, o której stopniu stanowić mogą tylko jej własne zdolności — siły jej umysłu; ale jest również niezaprzeczoną rzeczą, że istnieją pewne odrębności w tych jej zdolnościach, inne zdolności tych kierunki i właściwości, jak to cała duchowa istota kobiety wykazuje. Otóż i nauka kobiet, niebędąc niższą, nie może jednak i nie powinna być taką samą jak męzka, właśnie dlatego, aby prawdziwie korzystną być mogła: dlatego, aby kobieta rozwijając się według obdarowań natury własnej, doszła do najwyższego umysłowych swych władz rozwoju, co może nastąpić wtedy tylko, gdy środki doskonale temu odpowiednie dane jej zostaną, gdy umysł kobiet nie będzie ciągniętym jakgdyby na holowniczej linie przez tonie nauki, dla pożytku umysłów męskich przygotowanej, ale będzie miał swoją własną, ze szczególnym względem na umysłowość swoją urządzoną szkołę. Tylko szalone, a najczęściej awanturczego usposobienia kobiety chcą gwałtem bezwzględnego zrównania się z mężczyzną, co jest rzeczą nienaturalną i niemożliwą, a niosącą tylko za sobą złe skutki wykołowania kobiety z jej naturalnych skłonności i przymiotów przeznaczonych kobiecie odpowiadających.

ODPOWIEDŹ OD REDAKCYI.

Pannie B.... w Prusach Zachodnich. Serdecznie dziękujemy za korespondencją i prosimy o nadesłanie dokładnego adresu do pani *Maryi Ilnickiej w Warszawie, ulica Marszałkowska Nr 71.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Kłamcy*.

PO CENIE ZNIŻONEJ.

W księgarni nakładowej Michała Glücksberga przy ulicy Nowy-Swiat Nr 55, oraz we wszystkich Księgarniach tak w Warszawie jak i na prowincyi do nabycia:

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

przez

Leona Rogalskiego

w dwóch dużych tomach w 8-ce

(Tom pierwszy zawiera stronnice 596; — tom drugi zawiera stronnice 814)

cena pierwotna zniżona

z rub. sr. 6 na rub. sr. 2 kop. 50

Dzieło to obejmuje: *Dzieje literatury polskiej od jej zawiązku po koniec 1870 roku. Wiadomości bibliograficzne o wyszłych dziełach są bardzo skrętnie zebrane i podają wiele szczegółów w innych dziełach tego rodzaju pominiętych.*

We Lwowie u *Gubrynowicza* i *Schmidta*. — W Krakowie u *D. E. Friedleina*. — W Poznaniu u *Leitgebiera*, oraz w innych znaczniejszych księgarniach.

Listy z prowincyi uprasza się adresować do Wydawcy „Bluszczu“.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca.

CZŁOWIEK ŚMIECHU

Powieść

WIKTORA HUGO

przełożona z francuzkiego przez

Felicjana Faleńskiego

w 4-ch tomach

zniżona w cenie z rs. 3 na rs. 1 k. 50.

TREŚĆ. Meleszkowie, powieść, przez Zbigniewa. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Antoni Malczeski, (Zarys biograficzno-literacki), (dalszy ciąg), przez Wł. Chodźkiewicza. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencja zagraniczna, (Lwów). — Lamartine i jego przyjaciele. — Kronika działalności kobiecej.